Nr. 2. Luty 1891. **Rok V.**

Wychodzi w Krakowie **co miesiąc.** Wkładka roczna wraz z prenumeratą czyni 1 złr. 50 ct.; dla nauczycieli szkół ludowych i uczniów szkół średnich 1 złr. z przesyłką.

OPIEKUN ZWIERZĄT DOMOWYCH i POŻYTECZNYCH.

ORGAN KRAKOWSKIEGO STOWARZYSZENIA OCHRONY ZWIERZĄT.

ADMINISTRACYJA i EXPEDYCYJA w Krakowie, ul. Dolnych Młynów, l. 5. p. I., dokąd wszystkie przesyłki, wkładki i prenumeraty adresować należy. Członkowie krakowsk. Stow. ochr. zw. otrzymują czasopismo bezpłatnie.

„Sprawiedliwy ma na pieczy żywot bydlątka swego, ale serce niepobożnych okrutne jest“.

Przyp. Salomona. 12, 10.

Odpowiedzialny redaktor: **Prof. Bronisław Gustawicz.**

Sprawy Stowarzyszenia.

I. Ogólne Zgromadzenie Stowarzyszenia Pożyczkowego i Oszczędności **«Wzajemna Pomoc»** w Podgórzu udzieliło na posiedzeniu w dniu 25. stycznia br. odbytym z zysków osiągniętych za rok 1890 — na cele krakowskiego Stowarzyszenia ochrony zwierząt — kwotę **dziesięciu złr. a. w.**

Za ten dar składa Wydział krak. Stow. ochr. zw. serdeczne: «*Bóg zapłać!*»

II. **Z protokołu posiedzenia Wydziału odbytego 16. stycznia 1891.** Przewodniczący: Dr. Kopff Józef; sekretarz: B. Gustawicz; obecni wydziałowi: Dyr. A. Kolosvary, H. Berezowska, prof. J. Chmielewski, Dr. W. Dadlez; następnie członek Stow. Br. Dobrowolski.

Przez śmierć utraciło Stowarzyszenie w drugim półroczu r. 1890 trzech członków, tj. śp. prof. Dra Maksymilijana Nowickiego (ob. Nr. 10. Opiekuna z r. 1890), śp. Tomasza Pawika, urzędnika mag. krak., i śp. Franciszka Malika, introligatora. Cześć ich pamięci!

Przyjęto 6 nowych członków w skład Stowarzyszenia, a mianowicie: Wną P. Helenę Jordanową (Szerzyny), Wgo P. Romana Kleina, obywatela i radcę m. Podgórza, J. Piasecznego z Makowa, Edwarda Żulińskiego, słuch. med. w Krakowie, Piotra Stachiewicza, artystę-malarza w Krakowie, Jana Rola Rogawskiego, urzędnika Tow. Wzaj. Ubezpieczeń w Krakowie.

Zgłoszenie pp. Baczakiewicza Feliksa, Gunkiewicza Leona, Kirschnera Wincentego, Udzieli Seweryna, Wiśniowskiego Franciszka i Dra Fryderyka Zolla, iż występują z towarzystwa z dniem 1. stycznia 1891, powzięto do wiadomości.

Na podstawie §. 5. ustępu *e*) statutu wykreślono z listy członków: pp Cieśl.... Franc. (3·00 złr.), Gulk.... Jana (1·50 złr.), Józefcz.... Tadeusza (4·50 złr.), Kopern.... Stan. (2·00 złr.), Leńczow.... Stef. (4·50 złr.), Letsch.... Józ. (1·50 złr.), Rott.... Ferd. (3·00 złr.), Styp.... Józefa (2·00 złr.), Wał.... Michała (3·00 złr.), Wójc... Wład. (4·50 złr.), Wusat.... Zygm. (2·00 złr.), Ziemb... Julijana (3·00 złr.), razem członków 12, którzy za r. 1888, 1889 i 1890 nie złożyli statutem przepisanej wkładki mimo kilkakrotnych wzywań i upominań. Przez tych członków

którzy regularnie odbierali czasopismo *„Opiekun zwierząt“* w ubiegłym roku i dawniej, traci towarzystwo złr. 34. ct. 50.

Liczba zatym członków zwyczajnych na dniu 16. stycznia br. wynosiła w Krakowie 172, w innych miejscowościach 95, razem 267, między nimi 30 pań; oprócz tego członków honorowych 18, wspierających 1. Razem 286.

Mianowano p. *Romana Kleina,* radcę m. Podgórza, delegatem krakows. Stowarzyszenia ochr. zw. na Podgórze i okolicę.

Uwolniono 6 członków zwyczajnych od wkładki za rok 1891 z warunkiem, że każdy z nich zyska dla Stow. przynajmniej jednego członka i będzie gorliwie popierał cele Stowarzyszenia.

Mianowano p. *Wojciecha Luberdę* kursorem krak. Stow. ochr. zw. z płacą miesięczną 5 złr. w. a. i przyznano mu 2% od ściągniętych przezeń wkładek w list. i gr. 1890 jako osobne wynagrodzenie.

Odczytano pisma nadeszłe do towarzystwa. Ważniejsze z nich przytoczono w numerze styczniowym *Opiekuna zwierząt.*

Z powodu wygórowanych żądań autora broszury *„Pouczenie popularne o wściekliźnie u psów“* cofnięto uchwałę powziętą 21. maja r. z. co do drukowania tejże broszury.

Uchwalono odbyć Walne Zgromadzenie 15. marca br., następnie odstąpić od powziętej r. 1889 uchwały budowy pawilonika dla orłów i sępów w Parku Krakowskim z powodu niedostatecznie zebranego funduszu i przeznaczyć w tym celu uzyskaną kwotę 103 złr. w. a. do funduszu nagród.

Uchwalono udzielić nagród 5 członkom c. k. straży policyjnej, jednemu dorożkarzowi i dwom pachołkom magistr,, dozorującym na targu.

SIKORA i DZIECI.

Dzieci.

Oj, sikorko, kochaneczko,
zawsześ przy nas niedaleczko!

Sikora.

Ja zostaję tu, dzieciny,
i nie lecę z tej krainy
za innymi w dal ptakami,
bo mi dobrze między wami....

Kocham szczerze waszę ziemię,
a i miłe na niej plemię:
tu więc wolę biedę znosić,
niż w obczyznę się wynosić....

Zważcie jednak, teraz zima,
dla sikorek żeru nie ma,
to też, drogie moje dziatki,
sypcie ziarna koło chatki,
niech sikorki głód nie męczy,
ona wkrótce się odwdzięczy!...

Ledwie rzekła sikoreczka,
zajadała wnet ziarneczka;
każde dziecko, co zdołało,
to przed chatką jej sypało....

A gdy przyjdzie wiosna, lato,
to okaże wdzięczność za to;
będzie sady oczyszczała,
że wśród zimy żywność miała,
i tym także wynagrodzi,
że się owoc w sadach zrodzi.

Józef Chmielewski.

Z państwa pszczół.

Przez Dra Józefa Limbacha.

I.

Oto w kącie ogrodu, wzdłuż płotu, stoją rzędem ule, jeden przy drugim, wyciągnięte w długi szereg, jak żołnierze podczas mustry. Stare pnie drzewne, pokryte pożółkłą słomą, pokrzywione i sczerniałe świadczą, że długo tu stoją i długo patrzą w świat swymi dużymi otworami, które jak czarne oczy pod wysokim czołem dziwnie odbijają od nagiej pnia ściany. We wszystkich ulach wre życie, brzęczą pszczoły, pracowite ich mieszkanki; niemal co sekundę przylatuje z kilka pszczół, obarczonych zebranymi zapasami; każda kieruje do swego ula, odpocznie kilka chwil na deseczce i znika we wnętrzu, z którego inne, pozbywszy się swego ciężaru, chyżo wylatują do nowej pracy.

Tylko w jednym z ulów, który stoi na samym końcu długiego szeregu jakoś cicho i pusto. Ul to nowy, jak to widać po białym jeszcze drzewie i świeżej słomie. Dlaczegóż tam nie ma życia? Nie — bo przyłożywszy ucho, słyszymy brzęczenie głuche i szmer pracujących. Chodź-że ze mną, czytelniku, do wnętrza i przypatrzmy się razem tej pracy tajemniczej, zbadajmy tajemnice tego państwa tak misternie urządzonego, co słuszny podziw w nas zbudza.

Ul to nowy, jak powiedzieliśmy, a pszczoły przed kilku godzinami z roju tu dane wzięły się do pracy, by się wygodnie urządzić w mieszkaniu, skrzętnie obchodzą ul cały, pilnie przyglądają się, czy przypadkowo nie widać jakiej szpary, przez którąby światło dzienne mogło zaglądnąć do ula i przeszkadzać im w pracy. Gdy szczelinkę, choćby najmniejszą, odkryją, zaraz kilka robotnic bierze się wspólnie do dzieła i woskiem zalepiają ją szczelnie. Wosku im na pierwsze prace starczy, bo gdy opuszczały dawny ul każda z nich zapobiegliwie aż do przesytu obładowała swój żołądeczek.

Przez obrączki kałduna przedostaje się wosk na zewnątrz cienkimi płatkami, a usłużne koleżanki ostrymi szczękami odrywają go po kawałku i zalepiają szczelinkę. Gdy szczelina za wielka, a wosku wieleby musiały zużyć, to udają się po inny materyjał, po żywicę z drzew, którą zmięszaną z woskiem wybornie zatykają otwory. Na szczycie ula ruch i natłok największy, tam robotnic wiele, jedna obok drugiej, przyczepiona do sąsiadki nogami służy znowu za podstawę innej i tak w małym miejscu kilkadziesiąt ich ciężko pracuje.

Na powale ula widać już owoc ich pracy, malutką i cienką podłużną listewkę, na której z każdej strony powstają umiarowe sześcioboczne komórki, przyszłe zbiorniki miodu. Jest to powstający plaster, a robotnice nie tracąc czasu, zaraz do budowy jego przystąpiły. Ale zapasy wzięte ze sobą wyczerpują się, trzeba postarać się o nowe. Jedna robotnica po drugiej opuszcza swe stanowisko, dąży szybko ku wylotowi i staje na deseczce, umieszezonej przed nim. Widzimy jak bacznymi oczyma rozgląda się wokoło, podlatuje w górę, zakreśla małe koło, by napowrót usiąść na dawnym miejscu. Tak powtarza kilka razy, aż już dobrze położenie nowego ula i kształt jego utkwił jej w pamięci! Wtedy nagle wznosi się trochę w górę i prosto odlatuje, by na kilka sekund zniknąć nam z oczu. I jedna, druga, dziesiąta odlatuje, coraz więcej opuszcza ul, dążąc w pole, a doświadczony bartnik cieszy się, bo wie wtedy, że z pewnością i królowa jest w ulu, bo inaczej ani na chwilę by nie zostały, lecz zaraz opuściły ul, szukając matki swej.

Puśćmy się teraz za jedną z robotnic, lecącą w pole a po drodze przypatrzmy się, jak ona wygląda. Ciało jej obłe i kosmate, opatrzone czterema błonkowatymi skrzydełkami, ma głowę dużą, okrągłą, z wypukłymi oczkami, pyszczek wąski, uzbrojony potężnymi obcęgami ząbkowatymi, są to jej szczęki górne, a tuż obok dwie szczęki dolne, długie i cienkie, a w środku zpomiędzy nich wystaje przedłużona nadmiernie warga dolna, zwana językiem, na końcu owłosiona; ona to służy jej do zlizywania miodu. Na ciemieniu widać trzy przyoczka, a przed nimi parę krótkich, z kilkunastu członeczków złożonych rożków, które kolankowato złamane sterczą jej na przodzie i służą jako narzędzie dotyku. Tułów baryłkowaty ma trzy pary nóg, każda noga jest złożona z kilku części; przedostatnia część zwana piszczelem i pierwszy członeczek ostatniej części stopy są rozszerzone, obrosłe włoskami. Jest to tak zwany koszyczek do zbierania pyłku kwiatowego służący. Do tułowia uczepiony jest beznożny kałdun malutkim stylikiem, a na końcu kałduna schowane jest zadzierżyste żądło, jako broń zaczepna i odporna.

Tak wygląda pszczółka, za którą udaliśmy się w pole. Jest to samica, której narzędzia rozrodcze są zmarniałe, a jedynym jej celem jest praca około wspólnego państwa. I teraz leci ona w pole, by zbierać miód i pyłek. Tu i tam wabią ją kwiaty. Korony ich żółte lub czerwone zdala są widoczne. Natura mimowolnie

wysila się na jaskrawe kolory, osobliwie na takie, które we dnie łatwiej wpadają w oczy, a pszczółka instynktem wiedziona prosto dąży do nich, bo wie, że tam na dnie kielicha w malutkim pęcherzu w miodniku jest dla niej ukryty nektar roślinny, płyn słodziuchny, który ona, rozerwawszy pęcherzyk swymi ostrymi szczękami, zapomocą języka zlizuje. Kwiaty raczą swego gościa, a on bezwiednie wyświadcza im przysługę, bo kosmaty jej grzbiet nabiera na siebie dużo pyłku kwiatowego, a ten zaniesiony przez pszczółkę na inny kwiatek, kiełkuje tam i pobudza zalążek kwiatowy do rozwoju dalszego w nasienie. I tak jeden kwiatek po drugim otwiera przed pszczółką swe skarby, które w żołądku powoli przerabiają się w miód. Ale nektaru ma już dosyć, trzeba się postarać o materyjał, o wosk; tego ma podostatkiem w każdym pylniku. Na swoje tylne nóżki nabiera pyłku kwiatowego tak dużo, że ledwie może ulecieć.

Teraz wraca do ula, po drodze spotyka liczne swe towarzyszki, także mocno obładowane, dążące z powrotem; prosto dąży do komórek próżnych, by tutaj wydając przez pyszczek z siebie miód składać go jako zapas na przyszłość. Gdy komórka jest pełną, zaraz zostaje przykrytą wieczkiem i tak jedna komórka obok drugiej zapełnia się a tymczasem usłużne koleżanki zabierają jej z nóżek pyłek, by go spożyć i tym sposobem nowy wosk przygotować. Pozostały pyłek zostaje nagromadzony w inne dolne komórki.

Tak wśród pracy upływa dni kilka. Podczas gdy robotnice ciągle zajęte, to odlatują, to przylatują, trutnie, samce pszczół, wcale udziału w pracy nie biorą; powoli koło ula, brzęcząc latają, czekając kiedy królowa wyleci, by odbyć z nimi rójkę. Nareszcie pewnego pięknego dnia królowa opuszcza ul i wzbija się w powietrze, za nią tłumnie wznoszą się samce; w krótkim czasie wraca królowa nazad do ula, zmęczona lotem i uganianiem się ze samcami.

Teraz następuje dla niej czas składania jajek. Robotnice wiedzą, na co się zanosi; od dawna przygotowały całe szeregi komórek dla przyszłego potomstwa, a teraz królowa w licznej asystencyi, przechodzi od komórki do komórki, a zbadawszy, czy jest czysta i należycie zbudowana, składa na dnie komórki małe jajeczko, nie większe od ziarnka maku, tylko trochę wydłużone. Tuż obok usłużna robotnica umieszcza trochę miodu, jako pierwszy pokarm dla wylęgnąć się mającego czerwu. Tym sposobem całe szeregi komórek, obdarzone jajeczkami, świadczą, że liczne będzie przyszłe pokolenie. Po czterech dniach wylęga się z jajeczka czerw mały, beznożny, zjada chciwie pozostawiony pokarm, a potym bywa pilnie przez robotnice karmiony. Rośnie on prędko, tłuścieje, wypełnia prawie całą komórkę a wtedy przyszłe koleżanki ścieśniają otwór, zamykają go wieczkiem i teraz następuje przeobrażenie czerwu w młodą pszczółkę. Materyjał do przeobrażania dostarcza w obfitości tłuszcz podskórny, a ciepła dostarczają im pszczoły, gromadząc się tłumnie

na komórkach przykrytych wieczkami. Nareszcie po 17 dniach od czasu zasklepienia się pszczoła już wykształcona zrzuca wieczko, wyłazi z ciasnego więzienia i wkrótce jak tylko trochę obeschnie i skrzydła jej stężeją, zabiera się do roboty. Wprawdzie pierwsze dni jej życia służą jej na to, by obznajmiła się z pracą w ulu, to wraz z innymi wysiaduje swe siostry, to znowu sprząta wieczka albo znowu czyści komórki po wylęgłych pszczołach, by je przygotować na przyjęcie nowego jajeczka. Po tygodniu takiej pracy dopiero odważa się młoda pszczółka opuścić ul, by w polu dalej pracować. Życie jej nie jest długie, pszczoła, która w ciągu lata przyszła na świat, zaledwie 6 tygodni żyje; zużywa ją praca ciągła, zresztą ile robotnic ginie przy robocie, to ją żołna złapie, to czasem nawet i ropusze uda się pochwycić przelatującą; ileż to razy widzimy, że zwabiona jakąkolwiekbądź słodyczą, zabłądzi do pokoju, a potym obładowana uderza z brzękiem o szyby tak długo, aż zmęczona nie padnie, lub też ginie omotana pajęczyną. Że niespełna w dwóch miesiącach wszystkie pszczoły, które przezimowały giną, to najlepszym dowodem tego jest ta okoliczność, że gdy do ula damy za matkę naszym pszczołom samicę odmiany włoskiej, która posiada koniec kałduna rudy, zobaczyć możemy, że po dwóch miesiącach tylko włoskie pszczoły ul zapełniają.

Prócz robotnic zamieszkują ul także i trutnie. Jest ich tam kilkaset w każdym ulu. Gdy królowa już sporo zwykłych jaj naniosła, zabiera się do znoszenia jaj na trutnie. Komórka przeznaczona do tego celu ma tensam kształt, tylko jest trochę większa; jaja jednak tutaj złożone o tyle są odmienne od jaj poprzednich, że nie bywają zapłodnione. Jak słyszeliśmy, trutnie mają jeden cel przed sobą: mają odbyć z królową rójkę. Po jej odbyciu są już w ulu niepotrzebne, są to darmozjady, których usunięcie leży bardzo robotnicom na sercu. I rzeczywiście, w upatrzoną chwilę rzucają się one gwałtownie na nic złego nie spodziewające się trutnie. Następuje rzeź prawdziwa, zapędzone w najgłębszy kąt ula bronią się słabo, jedne po drugim padają pod ciosami żądeł i bywają przez robotnice wyrzucane z ula. Bo też robotnice bardzo baczą na to, by ul był czysty, by nic nie zatruwało im powietrza. Nieraz zdarzy się, że jedna lub druga gąsienica owadzia zostanie napotkana na gorącym uczynku kradzieży i zostanie natychmiast ukarana śmiercią; trupa zaś wloką pszczoły do otworu wylotowego i wyrzucają na dwór. W rzadkich tylko wypadkach, gdy pokonany nieprzyjaciel jest za wielki, by móc go usunąć, wtedy chwytają się one innego środka, żywicą i woskiem powlekają trupa i w ten sposób niejedna łakoma mysz zostaje zabalsamowana.

Tak pędzą pszczoły swój pracowity żywot, gdy lato pogodne, gdy dni słoneczne następują jeden po drugim, wtedy napełniają się komórki miodem, jeden plaster na drugim buduje się, napełnia. Plastry pionowo budowane tak blisko obok siebie wiszą, że zaledwie pszczoły wyminąć się mogą. Nareszcie na-

stępują dni słotne i chłodne, coraz rzadziej mogą wylatywać, aż wreszcie zimno przejmujące zmusza je do urządzenia się na zimę. Gęsto między plastrami siedzą, poprzyczepiane do siebie nóżkami. Przez takie tłumne nagromadzenie się w jednym miejscu rozgrzewają się tak, że nie zapadają w sen zimowy, ale owszem w spoczynku przepędzają całą zimę i muszą dlatego od czasu do czasu przyjmować pokarm. Wypróżniają się więc szybko komórki jedna po drugiej, wieczka odrywane zalegają ul. Spoczynek to jednak pozorny, bo właściwie praca w ulu nie ustaje; to trzeba wieczka usuwać, to przenosić zapasy z odległych komórek w bliższe, to znowu trzeba wyczyścić komórki próżne i powoli przygotować pod przyszłe pokolenie. Od czasu do czasu gdy temperatura powietrza złagodnieje, wymyka się pszczoła jedna po drugiej, aby wypróżnić się na dworze i niezanieczyścić ula.

D. c. n.

Z ŻYCIA PTAKÓW.

Wróbel jako dobroczyńca. Przed kilku laty podał niemiecki dziennik «*Welt-Blatt*» ciekawy o tym wróblu szczegół, który tutaj powtarzamy. W Berlinie mieszkała w podeszłym wieku już będąca dama, która z powodu swego dobroczynnego usposobienia znaną była całemu sąsiedztwu. Obok wrodzonej skłonności do wyświadczania bliźnim swoim rozlicznych dobrodziejstw, odznaczała się panna S. jeszcze innym zamiłowaniem. Mianowicie nakarmiała ona z największą regularnościa cztery razy dziennie na balkonie, do ogrodu zwróconym, wróble tam przybywające. Pewnego razu podbił jej serce bardzo zgrabny i ujmująco ugrzeczniony wróbel. Mały ten figlarz był tak śmiały, iż w czasie każdorazowego karmienia wlatywał na rękę swojej dobrodziejce. Słusznie przypuszczała panna S., że to był tak zwany «oswojony wróbel», który gdzieś w sąsiedztwie miał swe pomieszczenie. Pewnego dnia, jak zwykle, rzucała przyjaciółka ptaszego rodu wróblom żer przygotowany. Wtym nadleciał wróbel oswojony i usiadł jej na palcu. Ze zdziwieniem spostrzegła wtedy panna S., że ptaszyna około szyjki ma przymocowany malutki biały woreczek płócienny. Z wielką ciekawością odwiązała ten woreczek, zaglądnęła do niego i znalazła w nim na karteczce następujące słowa: «Pewna rodzina bez najmniejszej przewiny popadła w chwilowy niedostatek, udaje się zatym do szlachetnego serca dobroczynnej damy z błagalną prośbą o udzielenie zapomogi w kwocie 50 marek (30 złr.). Po upływie tygodnia zwróci ją tensam mały poseł». Panna S., wzruszona do głębi szczególnym, a zarazem i tajemniczym sposobem szukania pomocy, nie namyślała się długo. Wzięła skrzydlatego oddawcę kartki do pokoju, włożyła do woreczka banknot na 50 marek, następnie, przywiązawszy ptaszkowi woreczek do szyi, otworzyła

okno, i mały poseł odleciał wesoło z jej ręki. Nazajutrz poczciwy wróbelek przyniósł drugą kartkę, na której były tylko te słowa: «Stokrotne dzięki!»

Od tego czasu przybywał w oznaczonej porze karmi, jak zwykle, każdodziennie do panny S., ale już nie miał woreczka przy sobie. Dopiero w końcu, miesiąc później od owej chwili, gdy z pierwszą przybył kartką, przyleciał wróbel i znowu usiadł na ręce miłosiernej panny, ale tym razem miał znany nam woreczek u szyi. Panna S. znalazła w nim pożyczonych 50 marek wraz z kartką, na której w najgorętszych i najczulszych słowach wyrażono wdzięczność za udzieloną pomoc. Dobroduszna dama pomimo najgorliwszych, dyskretnych poszukiwań żadną miarą nie mogła dociec, kto był posiadaczem sprytnego wróbla i jak się nazywała rodzina, która zapomocą pożyczki uwolniła się z chwilowego niedostatku. Wróbel więcej już nie przybywał do panny S.

Dla przyjaciół ptaków. W tymsamym piśmie wyczytałem przed kilku laty następujący szczegół, tyczący się choroby ptaków. Zdarza się często, że ptaki śpiewające chowane w klatkach, nagle milkną, słabnieją i nędznie wyglądają. Szczególnie dzieje się to także u naszych kanarków. Wogóle nie umie sobie nikt wytłumaczyć przyczyny tego uderzającego zjawiska, to też w skutek nieznajomości choroby biedne stworzeńka stają się ofiarami w krótkim czasie.

Pewien obywatel miał kanarka, który jako śpiewak nie miał sobie prawie równego. Był zawsze wesoły i skakał ustawicznie. Nagle przestał śpiewać i tylko posępnie podskakiwał w klatce. Obywatel udał się natychmiast do sławnego znawcy ptaków po wyjaśnienie. Ów poradził mu, ażeby na miejscu, gdzie ptak zazwyczaj sypiał, przymocował kawałek trzciny rzecznej. Uczynił, jak mu polecono. I rzeczywiście, gdy na drugi dzień rano wyjął trzcinę, znalazł ku największemu zdziwieniu swemu przeszło 300 sztuk, wolnym okiem zaledwie spostrzec się dających czerwonawych weszek, które w porach trzciny się ukrywały. Zniszczył je odrazu i dopóty powtarzał to doświadczenie, aż się żaden owad więcej nie pokazał. Od tego czasu przyszedł ptak do siebie, był znowu rześki i wesoły i nanowo rozpoczął swe dawne trele.

Dodać jeszcze trzeba, że wyjmowanie trzciny powinno się odbywać bardzo wczas rano, gdyż w przeciwnym razie utrapieńcy napowrót wciskają się między pierze ptaka.

O losie naszych śpiewaków. *G. Rüger* pisze w tej sprawie: Jest niezbitym pewnikiem, że w ostatnich dziesiątkach lat zmniejszyła się znacznie liczba naszych skrzydlatych mieszkańców pól i lasów, z tego też powodu nie można zamilczeć obawy, iż ubytek wesołych śpiewaków wychodzić będzie na coraz większą szkodę gospodarstwa leśnego i rolnego, a w tymsamym stosunku rozmnoży się szkodliwe robactwo wszelkiego rodzaju, przyczym

namienić się godzi, że tak zręcznie, jak rącze, ruchliwe ptaszki nie zdoła żadna ręka ludzka zbierać gąsienic i ich jajek z drzew i krzaków, nikt nie potrafi chwytać dokuczliwych komarów, chrząszczy i tym podobnych nieproszonych gości.

Tymczasem dokoła czyhają na naszych małych dobroczyńców rozliczni nieprzyjaciele i stają się sprawcami, iż wiele z nich na zawsze nie wydaje z siebie uroczego głosu.

Niegodziwe ptaki drapieżne z zakrzywionymi dzióbami i ostrymi szponami napadają na nie znienacka, a podczas gdy na nieszczęście tak często u nas pojawiająca się kawka odbywa zgubne polowanie na małe ptaki śpiewające, w ogrodach i polach, nawet po wsiach pod samymi oknami wykonuje swe rzemiosło nigdy niespoczywająca sroka, aby im niszczyć jaja, jakoteż i młode. Ale, co tu mówić, sam człowiek nawet przykłada rękę w bezkarny sposób do strasznego dzieła, by tępić swoich wiernych pomocników w ustawicznej walce przeciw swoim wrogom pól, lasów i ogrodów. Nierozumni chłopcy niszczą gniazda ptakom, wybierają młode i płoszą stare. Nie zadowalniają się śpiewem, który słyszą w przyrodzie wolnej, ale zamykają małych muzyków w klatkach, aby im przyspieszyć zgubny koniec. A jeszcze o wiele w wyższej mierze spotyka nędza i śmierć okrutna te ptaki, które od nas odlatują na zimę i cieplejsze kraje obierają sobie na czasowy pobyt. W drodze mnóstwo z nich wpada do morza wskutek osłabienia, czemu człowiek zaradzić nie potrafi; daleko atoli więcej, niż w nurtach wody, ginie ich z zbrodniczej ręki chciwego człowieka.

W dalekiej podróży przez Śródziemne morze tworzą dla nich liczne wyspy pożądane miejsca wypoczynku, gdzie znużone ich skrzydła doznają odpoczynku, a ciało, przyjąwszy pożywienie, nabiera świeżej mocy i siły. Biada jednak zmęczonym wędrowcom, gdy w celu wypoczynku osiadają na takich wyspach, gdzie są siedziby ludzkie. Tam mordowanie biedaków odbywa się całkiem według planu. Często też można czytać w różnych pismach o strasznych mordach ptaków na wyspie Helgoland. Zgłodniałe istoty według doniesień wabią szczególnie podczas nocy zapomocą latarń i chwytają całymi gromadami. Tamtejszy latarnik, jak sam zeznał, jednej nocy zabił 3000 małych ptaszków. Z tego wnosić można, że przez cały czas tego ohydnego polowania musiały paść setki tysięcy pożytecznych ptaków śpiewających.

Wybredni smakosze, którzy mięsem owych ptaków podrażniają swoje grymaśne podniebienie, tudzież dumne panie, które bez wszelkiego namysłu używają skórek ptaszych do ozdoby swoich kapeluszy, zasługują na słuszne potępienie, albowiem krzywdzą poszczególne kraje, wyrządzają szkodę gospodarstwom i pozbawiają miłośników przyrody niezrownanej przyjemności. My atoli nie powinniśmy Boskich stworzeń zabijać, ani z lekkomyślności, ani w chęci zysku, ani rozkoszy marnej; nie powinwinniśmy niweczyć w wysokim stopniu mądrego urządzenia

w przyrodzie, ani też zarazem szkodzić naszym ogrodom, polom i lasom, ażeby nie zawinić ciężko wobec społeczeństwa. Owszem nasi przyjaciele powinni od nas doznawać zawsze szczerej opieki w zimie i starannej ochrony na wiosnę i w lecie.

Mordowanie ptactwa na wyspie Helgoland. W piśmie «*Welt-Blatt*» czytaliśmy: «Nie ma może drugiego miejsca, któreby do zastanawiania się nad światem ptaszym więcej było stosowniejsze od wyspy Helgoland. Pomijając wodne i lądowe ptactwo, zalatują tysiące ptaków śpiewających w podróży swojej na tę wyspę, ażeby tutaj użyć krótkiego wypoczynku. Niestety obierają sobie ci mali goście nader niebezpieczne miejsce, albowiem zaledwie spuszczą się na ziemię, rozpoczyna się ze strony Helgolandczyków najwstrętniejsza rzeź tych drobnych istót. Młodzi i starzy mieszkańcy tej strasznej dla ptactwa wyspy natychmiast naganiają przybyłych wędrowców do sztucznie urządzonych krzaków, które są sieciami otoczone. Jak wydajny bywa połów, można stąd wywnioskować, że jedenastoletni chłopiec w przeciągu 3 kwadransy chwycił raz 32 sztuk ptaków śpiewających. Przytym wiedzieć trzeba, że połów w porze dziennej nigdy nie jest tak wydatny, jak w nocy. Wtedy po kilkaset ptaszków łowią na tak zwane tajnie. Słowiki, pliszki, raszki, piegże (gajówki), krótko mówiąc, wszystko, co tylko wpadnie w oczy, bywa bez różnicy duszone, w pęki wiązane i po gospodach sprzedawane.

Przeciw wszystkiemu ptactwu wodnemu wre tam w podobny sposób zapalczywa walka. Jest rzeczywiście przerażającą rzeczą, jakiego spustoszenia doznają tam miłe stworzenia skrzydlate; byłoby zatym bardzo do życzenia — dodaje pomienione pismo — ażeby rząd angielski zapobiegł temu nadużyciu». Ciekawi jesteśmy, jak teraźniejszy rząd niemiecki zachowa się wobec tej w każdym razie doniosłej sprawy.

Poetyczny zwyczaj u senickich Indyjan. Gdy u senickich Indyjan umrze dziewczyna, zamykają młodego ptaszka na tak długo, aż po raz pierwszy użyje swej siły w śpiewie. Wtedy zanoszą go na grób zmarłej, obdarzają go całusami i pieszczotami, a potym puszczają go na wolność w tym miłym przekonaniu, że dopóty nie opuści swych skrzydeł, ani nie zmruży swych oczu, dopóki nie dotrze do kraju nieboszczyków i nie złoży drogiej zmarłej cennego upominku. Nie rzadko widzieć można, iż z jednego grobu puszczają 20 do 30 takich posłańców miłości.

Józef Chmielewski.

Szkoła opiekunką ptaszków w zimie.

Pod powyższym napisem umieścił p. *Mieczysław Baranowski*, inspektor szkół ludowych miejskich i redaktor organu Towarzystwa pedagogicznego «*Szkoła*», w tymże piśmie artykuł, który tu dosłownie powtarzamy.

Szkoła rozporządza niezmierną ilością środków pedagogicznych, które stosownie użyte, wywierają wpływ zbawienny

na wychowanie i uszlachetnienie dziatwy. Doświadczony i myślący nauczyciel wyzyska dla celów wychowawczych często zczegół jakiś na pozór nic nie znaczący, korzystając z nadarzającej się sposobności i odpowiedniej chwili, bo właśnie owa chwila rozstrzyga o doniosłości i skuteczności pewnego środka i sposobu. W wyborze środków pedagogicznych kierować się powinien nauczyciel nietylko indywidualnością wychowanków, lecz także chwilowym nastrojem umysłu i innymi okolicznościami miejsca i czasu. Któż n. p. nie wie o tym, że najsposobniejszą porą do rozbudzania litości dla biednych jest zima, kiedy to obok głodu dokucza ubogim zimno. Stosowna powiastka, opowiedziana w czasie mroźnej pory zimowej, wywoła u dziatwy współczucie dla biednych i pobudzi do uczynków miłości bliźniego. Śmierć matki lub ojca jakiegoś dziecka w klasie da sposobność pouczenia dzieci, jak ciężką jest taka strata dla dzieci i ile winni wdzięczności swym rodzicom. Pożar w gminie nasuwa nauczycielowi sposobność przypomnienia dzieciom, że z ogniem ostrożnie należy się obchodzić, a nieszczęśliwych pogorzelców wspierać.

Do podobnych środków pedagogicznych, zbawiennych w swych skutkach, należy opieka nad głodnymi ptaszkami w zimie. W krajach ucywilizowanych na zachodzie — jest ochrona ptaków śpiewających i innych ptaków pożytecznych tak głęboko zakorzeniona i tak rozpowszechniona, że pouczenia w szkole stają się prawie zbyteczne. Dzieci widzą tam na każdym kroku różne urządzenia, mające na celu ochronę ptaków pożytecznych. W sadach spotyka się tam gotowe gniazdeczka sztuczne, urządzane na wzór gniazd przez różne gatunki ptaków ścielonych, które przywabiają tych mieszkańców powietrznych i czynią oczyszczanie drzew z gąsienic prawie zbyteczne. Każdy obywatel poczuwa się do obowiązku oddania w ręce policyi ptaszników, sprzedających ukradkiem ptaki śpiewające. Wybieranie gniazd i pastwienie się nad pisklętami ptaszymi jest tam nieznane. W zimie urządzają po wsiach i miastach stałe żerowiska dla tych ptasząt, które ojczyzny nie porzucają i nie odlatują w cieplejsze kraje. To też litość ta dla tych małych stworzeń Boskich odpłaca się sowicie obfitym zbiorem owoców, które znaczne przynoszą gospodarzom dochody. Że litość ta wobec ptasząt i wogóle zwierząt przyczynia się do spotęgowania miłości bliźniego, do litości dla biednych i nieszczęśliwych, nie potrzeba zdaje się i upewniać. Liczne zakłady dobroczynne, stosownie

urządzone, wspierające prawdziwą nędzę, a nie popierające lenistwa i próżniactwa, jak to u nas czasem się dzieje, są wymownym dowodem wyższego poczucia Chrystusowej miłości bliźniego.

Bylibyśmy pesymistami, gdybyśmy nie chcieli uznać, że u nas niejedno w tym kierunku się dzieje, a szkole naszej współczesnej już najmniej podobny zarzut możnaby zrobić. Jednakowoż dobrego nigdy nie ma za wiele — a powtóre, do dobrego zawsze należy nawoływać i konieczność pracy na tym polu przypominać.

Niedawne mrozy, które dały się we znaki szczególnie dziatwie szkolnej, zniewolonej po wsiach podążać do szkoły, czasem o kilka kilometrów odległej, przypomniały nam sprawę ochrony ptaków pożytecznych za pośrednictwem szkoły, nieraz już omawianą.

Od dawna w wielu szkołach istnieje chwalebny zwyczaj, że dziatwa za poradą nauczyciela zbiera okruszyny chleba, zjadłszy na pauzie z apetytem przyniesiony z domu posiłek, a czasem przynosi okruszyny z domu — i zesypuje je na oczyszczonym ze śniegu miejscu, w ogrodzie szkolnym lub na podwórzu i urządza tym sposobem codziennie biesiadę dla ptactwa. Otóż piękny ten zwyczaj powinienby przyjąć się wszędzie w szkołach naszych. Słowo nauczyciela, skierowane do dziatwy w tym duchu, podziała jak iskra elektryczna i w lot w czyn się zamieni. Jaka to dobra sposobność powtórzyć z dziećmi, ktore to ptaszki ziemię ojczystą najbardziej kochają i nigdy nas nie opuszczają, czym są pożyteczne, dlaczego należy je ochraniać. Jesteśmy pewni, że te dzieci, które znoszą okruszyny dla ptasząt, lub też urządzają u siebie w domu dla nich posiłek, nie będą nigdy zdolne wybierać na wiosnę gniazdeczek, lub też wyłapywać ptaszki na samotrzaski i sieci. Żadna powiastka, choćby najsprytniej ułożona o psotniku, który wybierając gniazda, spada z drzewa i łamie sobie nogę itp., nie odniesie tego skutku, co czynna pomoc ptaszętom w zimie.

Obok pożytku materyjalnego, który osięga się przez ochronę ptasząt w zimie, o wiele donioślejszy i potężniejszy jest wpływ moralny na dziatwę. Na żywym przykładzie poznają dzieci, że skoro głodne ptaszęta potrzebują opieki i pomocy, o ile bardziej pamiętać należy o głodnych ludziach, niezdolnych zapracować na kawałek chleba.

Opieka nad ptaszętami nie pozostanie bez wpływu na uczucie religijne dzieci; same bowiem spostrzegą, że współdziałają z opatrznością Boską, która według słów Zbawiciela

«karmi i utrzymuje ptaki niebieskie, które nie sieją i nie żną«.

Na przykładzie nauczą się dzieci nietylko litować się nad biednymi, ale spieszyć im z czynną pomocą, bo to, co dziecko czyni z pobudki nauczyciela dla ptasząt, uczyni z własnej pobudki wobec biednego i chętnie odejmuje sobie od ust zbyteczny kawałek chleba, a odda go łaknącemu. W dalszym następstwie przejmie się dziecko myślą, że wszyscy ludzie wspierać się i wspomagać powinni w potrzebie, a zwłaszcza ludzie sobie najbliżsi tejsamej gminy, tegosamego kraju, tegosamego narodu, co nie pozostanie bez wpływu na kształcenie uczuć patryjotycznych i na rozbudzenie większego poczucia plemiennej łączności i jedności.

A więc pamiętajmy o tym, że szkoła powinna być opiekunką ptasząt w zimie, w czym zyskamy o jeden środek pedagogiczny więcej.

MYŚLI JÓZEFA CHMIELEWSKIEGO.

Kto zwierzęta z młodu dręczy,
chętnie później ludzi męczy,
lecz kto nie jest dręczycielem,
stanie się ich przyjacielem.

Bóg miłuje swe stworzenie,
to też człowiek bez sumienia,
gdy się stworzeń stanie wrogiem,
jest w sprzeczności z Panem Bogiem.

Gdy kto krzywdę słabszej wyrządza istocie,
czy się doskonali i dąży ku cnocie?

Co tobie nie miło, to nie czyń drugiemu:
ani człowiekowi, ani zwierzęciu twemu.

Ludzie są podwładni, gdy ich prześladują,
łatwo krzywdy swoje drugim okazują;
bydło też podwładne różne krzywdy znosi,
lecz to, co je boli, czy komu ogłosi?
Ono razem z ludźmi na chlebek pracuje,
czyż na miłosierdzie wciąż nie zasługuje?

Gdzie koń z ściętą skórą, bydło z głodu zdycha,
a pies stary w budzie bezsilny usycha,
tam nie ma litości, tam zamarło serce
i miłość bliźniego pewnie w poniewierce;
tam też żebrakowi ani postać w domu,
bo dozna obelgi, przekleństwa i sromu.

Jak się powinno ładować wozy?

Klement, komisarz krajowego gospodarstwa w Kassel, wydał wielki plakat z illustracyjami, który słowami i wizerunkami przedstawia dręczenia zwierząt przy pociągach. Przedstawiono tam wybitnie różnicę zachodzącą w używaniu długich a krótkich postronków; krótkie postronki konia ochraniają, długie zaś przeciążają i dręczą. Plakat ten podaje następujące upomnienia:

SŁUCHAJ RADY:

1. Ułóż na przodzie drabki tak, aby ich kończyny zrównały się z obwodem przednich kół na przodzie w jednej linii, abyś mógł ładować ciężar na osi przedniej.

2. Przypnij sztelwagę jak można najbliżej osi przedniej, gdyż siła pociągu musi do ciężaru (na wozie) najbardziej być zbliżoną.

3. Upnij konia na możliwie krótkich postronkach u odpowiedniej długości dyszla, a przekonasz się z siłomierza, żeś zaoszczędził pół siły konia.

4. Stale przytwierdzona sztelwaga u wozów ciężarowych jest szkodliwa. Klapy na oczy dręczą zwierzę i prędzej wywołują płochliwość, niż jej zaradzają. Używanie podwójnego jarzma jest dręczeniem! Jarzmo na czoło, dobrze wypchane, jest najodpowiedniejsze.

Pochlebna recenzyja.

Bonus Pastor w nrze 24. z grudnia 1890 mówiąc o nowych książkach tak pisze:

«**Jaskółki**. Obrazek z historyi naturalnej skreślił Mikołaj Rybowski, kierownik szkoły ludowej. W Krakowie 1890. Odbitka z IV. tomu «Opiekuna zwierząt».

Autor tej broszury, znany z dawniejszych prac, z których wszystkie odznaczają się poczciwą tendencyją i są pisane barwnym, ale i dla prostaczka zrozumiałym piórem, zwrócił swą uwagę na jaskółki, te ulubione u nas ptaszyny. Z zamiłowaniem szczególnym matki przyrody, podpatrzył autor życie jaskółek, ich charakterystykę, a korzystając z podań ludu i wyniku badań przyrodników, okrasił nadto opowiadanie swe najcelniejszymi głosami poetów; pożyteczną podaje tu lekturę każdemu miłośnikowi świata zwierzęcego».

Uwaga. My z swej strony dodajemy, że *Przegląd*, dziennik wychodzący we Lwowie, w num. 17 z 22. st. br. umieścił również nader pochlebną wzmiankę o powyższej pracy naszego współpracownika i miłośnika przyrody.

OSTATNI ŻAL.

Śmierć nie jest straszną. Stać się kamieniem,
nie czuć, co gnębi, co boli,
rozstać się z myślą, rozstać się z marzeniem,
w tym żadnej nie ma niedoli.

Jedynym żalem będę przyjętym.
gdy z życiem przyjdzie rozstanie,
że żyć nie będę w dniu wielkim, świętym,
gdy ludzkość — ludzką się stanie.

(*Ze „Strof*").

Z zakresu weterynaryi i gospodarstwa.

Zaraza pyskowa i racicowa. Choroba ta, dotykająca przeważnie woły krowy, owce i świnie, objawia się pęcherzykami na błonie śluzowej pyska i między racicami. Pęcherzyki te wypełnia płyn zaraźliwy, który zaraża zdrowe zwierzęta. Rzadko i tylko zpowodu zupełnego zaniedbania i lenistwa zaraza ta staje się groźną dla zwierzęcia, a gospodarzowi przynieść może dotkliwe straty, gdyż chore bydlę nie może jeść, więc chudnie, krowy tracą mleko, woły zaś stają się niezdolne do pracy, Chore bydlę zwykle mocno ślini, mało albo wcale nie je dla wielkiego bolu w pysku. Pęcherzyki zjawiają się w pysku i na języku; rychło dojrzewają i pękają, wydzielając z siebie płyn żółtawy, poczym błona śluzowa pokrywa się nowym nabłonkiem i goi się, a bydlę nabiera apetytu, gdyż już nie doznaje bolu.

Na racicach zaraza objawia się także pęcherzykami w szparach racicznych; wtedy zwierzę kuleje. Pęcherzyki pękają i obnażają skórę. Zwierzę pokłada się z bolu. Utrzymanie największej czystości zaleca się bardzo, od nieczystości bowiem powstają rany, które ropiejąc oddzielają róg od części mięsnych i wywołują szalony ból, tak iż bydlę leżąc odgniata sobie skórę na bokach i z wycieńczenia ginie.

Zaraźliwość choroby pyskowej i racicznej jest tak wielką, że skoro jedno bydlę w stajni zachoruje, powoli i inne sztuki zarażają się. Aby więc chorobę ukrócić, należy wszystkie sztuki zarazić. Czyni się zaś to w ten sposób, że dodawszy do zimnej wody śliny z chorego bydlęcia, podaje się tę wodę zakażoną do napicia lub tylko do zamoczenia pyska zdrowym sztukom. W trzech dniach potym wszystkie zwierzęta w stajni zaczną ślinić.

Głównym lekarstwem na chorobę pyskową i raciczną jest *czystość*. Trzeba więc przemywać pyski po kilka razy na dzień odwarem z litra przegotowanej wody i łyżki nasienia lnianego lub jęczmienia. Do odwaru tego dodaje się trochę kwasu karbolowego. Racice zaś należy przestrzykiwać odwarem z kory dębowej lub wierzbowej, dodawszy również nieco kwasu karbolowego.

Odstający od mięsa róg trzeba odciąć. Przytym zaleca się suchą ściółkę i usuwanie gnoju zpod nóg. Dobrze jest zapędzać bydło do rzeki z czystym

łożyskiem na kilka godzin, a pasać tylko na suchych miejscach, unikając cierni, na których bydlę kaleczy pysk, W końcu należy pamiętać i o tym, że mleko z zarażonych krów jest szkodliwe dla człowieka i dla cieląt. Nieprzegotowanego mleka nie można używać.

Lud Polski. 1891. Nr. 5.

NOWI CZŁONKOWIE.

Wna P. **Cenzler Józefa**, obywatelka, Kraków. — Wni PP.: **Abramowicz Bronisław**, artysta-malarz, Kraków. — **Kordasiewicz Klemens**, urzędnik ck. kolei państwowej, Kraków. — **Rehman Franciszek**, obywatel m. Podgórza. — **Janasz Marcin**, rządca, Raba wyżnia (p. Chabówka).

KALENDARZ MYŚLIWSKI.

W marcu niewolno polować: na jelenie, kozły (rogacze), zające, jarząbki, bażanty, kuropatwy, przepiórki, dzikie gołębie, tudzież na lisy.

Przez cały rok niewolno polować: na łanie, kozy, cielęta i śpiczaki, tudzież kury głuszców i cietrzewi; tudzież na zwierzęta alpejskie, świstaki i kozice, właściwe Tatrom.

Zakazane jest łowienie zwierzyny na sidła, żełaza, łapki i tym podobne przyrządy.

Przypomnienie.

Przypominamy Szan. Członkom krak. Stowarzyszenia ochrony zwierząt, że walne zgromadzenie odbędzie się 15. marca br. w Muzeum Techniczno-Przemysłowym o godzinie 3. popołudniu. O liczny udział i wczesne przybycie upraszamy.

PSY ŁAŃCUCHOWE.

Najwierniejszym stróżem domu jest pies łańcuchowy. Jakżeż często ludzie zapominają o nim! Słyszymy po przedmieściach i wsiach ciągłe wycie i skomlenie jego, ale któż zważa na nieme skargi jego. Przywiązany do budy w najgorszym zakątku, sam nie może sobie pomóc; buda licha nie daje schronienia przed zimnem i wilgocią; posłanie mokre, nieraz i głód dokucza, oto zwykła nagroda ludzi za wierność. Zwracajmy uwagę na ten okropny stan psów łańcuchowych i starajmy się wpłynąć na poprawienie ich losu. Gdyby przedstawienia nie odniosły pożądanego skutku, prosimy o doniesienie.

Redakcyją numeru zamknięto 28. lutego 1891.

Nakładem krak. Stow. ochr. zwierząt. — Drukiem A. Koziańskiego w Krakowie.